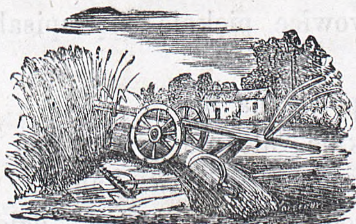
Tom III. 21. Kwietnia 1871. Nr. 12.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Piękny przykład.

Dawno! już nie byłem w Śliwowicach. Aż dopiero przed miesiącem nadarzyła się mi sposobność, że przybyłem do tej pięknej wioski. Przypatrzyłem się ciekawie staremu kościołowi z dwiema wieżyczkami, ale miły staruszek nie zmienił się zupełnie. Te same lipy stare szumią koło niego, a na jednej z nich dotychczas widać bocianie gniazdo. Patrzę potem na wioskę i na te wielkie sady, po których nieraz chodziłem z nieboszczką ciotką. — Naraz wedle kościoła z drugiej strony zabielił mi się przed oczyma schludny domek. Myślę sobie tedy: ktoby w nim mógł mieszkać? Boć to i sztachety około niego i ogródek ze szczepkami i kilka ulów z boku; w domku okna duże, ganek na przodzie, a nad dachem kominy białe... Zbliżam się spiesznie i widzę nad drzwiami tablicę, na której wyczytałem te słowa:

Szkoła ludowa w Śliwowicach.

— A to pięknie! — myślę sobie — W takiej szkole! to już pewnikiem dzieci weselsze, duch swobodniejszy, tu zdrowo i wygodnie...

Poszedłem zaraz do mego krewniaka Adama Kadulskiego i przywitawszy się serdecznie z nim, jego żoną i dzieciakami,

zacząłem sią wypytywać o to i o owo, aż nareszcie tak po wiadam:

— A to Śliwowice pięknie się spisały, kiedy mają taką piękną szkołę!...

A Kadulski powie na to:

— Jużci pięknie, ale nie byłaby ona przyszła do takiego porządku, gdyby nie Stanisław Palec... On był dla szkoły największym dobrodziejem, a potem, dzięki Bogu, i gmina nasza...

— Jak to, Stanisław Palec? A to jakim sposobem — zapytałem — kiedy to był gospodarz mizerny i nie wielebyś znalazł w jego worku...

— To prawda, że tak było — odrzekł Adam — ale ty widać nie wiesz, jak się to stało?...

— Pewnie, że nie wiem. Mówno prędzej! — zagadałem. A Kadulski tak mi prawi:

— Wiem dobrze, że Palec nie był majętnym, ale był uczciwym i pobożnym gospodarzem. Z nikim się nie zadzierał, owszem każdemu dopomógł podług możności. Przed siedmiu czy ośmiu laty, już tego nie pamiętam, miał on ciekawe zdarzenie. Wracając z miasta po jarmarku, napotkał na drodze leżącego starca, który miał złamaną nogę. Mróz był wielki. Ten i ów przejeżdżał koło biedaka; każdy spojrzał tylko, ale nikt się go nie zapytał, co mu się stało, nikt się nie ulitował by go wziąść do swojej chaty... Przystępuje tedy do niego litościwy Stanisław i zaraz pyta:

— A co się wam to stało biedny człowieku?...

Starzec nic na to nie odpowiedział. Jęczał boleśnie i oddychał z wysileniem.

— Dobrze, że jeszcze żyje! — westchnął Stanisław.

Po tych słowach zeskoczył z wozu parobek Stanisława i przybiegł się patrzeć na starego kalekę...

— Franku! — zawołał Stanisław — bierz ze mną nieszczęśliwego i włóżmy go na wózek. Dom już niedaleko; tam mu może poradzimy!..

I wziął go natychmiast z parobkiem, a włożywszy nań swój kożuch, kazał szybko jechać do domu.

Wszystkie jednak starania i zabiegi Stanisława nic nie pomogły. Chory tak był osłabiony, że w żaden sposób nie mógł mówić Zaledwie ręką zdołał ruszyć pokazując nogę i piersi.

Stanisław posłał zaraz po księdza, by go zaopatrzył. Ksiądz przyszedł, ale starzec leżał już bez przytomności. Pomazał go tylko olejem świętym i wyszedł. W półgodziny może potem, kalcka wyzionął ducha. Idzie tedy Stanisław do wójta i opowiada mu całe zdarzenie.

Wnet przyszedł wójt z przysiężnymi i opatrują umarłego. Szukają po kieszeniach i znajdują papiery.

Wójt rozwiązuje paczkę i dowiadują się, że nieboszczyk był niegdyś czeladnikiem profesyi szewskiej, potem służył w wojsku lat dwadzieścia, a zostawszy kaleką, żył z łaski dobrych ludzi.

— A to trzeba mu będzie sprawić pogrzeb! — przemówił jeden przysiężny.

W tem wójt przeglądając inne papiery, znalazł arkusz, na którym u wierzchu był napis: testament. Czyta więc czemprędzej, a stały tam te słowa:

„Przed rokiem mogłem jeszcze pisać; owoż przeczuwając blizką śmierć moją, objawiam piśmiennie mą ostatnią wolę. Mam krwawo zapracowanych i oszczędzonych pieniędzy dwa tysięcy reńskich. Nie chcąc ich spotrzebować dla siebie, ofiaruję wszystkie temu poczciwemu gospodarzowi, który mię chętnie przyjmie w swojej chacie lub u którego zakończę moje życie. Pieniądze może sobie wziąć bez obawy, bo nie mam już krewnych ani dawniejszych przyjaciół moich. Uczynek miłosierny mnie wyświadczony, wynagradzam tem, co posiadam...

Miednica 24. września 1861.

Podpisem stwierdzam:

Antoni Mieciuch."

Biedny Stanisław Palec osłupiał po przeczytaniu tego pisma.

— Dobrze, że was Bóg obdarzył tym sposobem — powiedział wójt — boście sobie zasłużyli za wasze poczciwe serce!...

*

— Ale gdzież te pieniądze? — zapytała żona Stanisława.

Szuka wójt z przysiężnymi po wszystkich kieszeniach, odrywa przyszyte łaty, ale ani grosza znaleźć nie może.

— Pewnie ma te pieniędze na piersiach — przemówił jakby ze snu ocucony Stanisław — bo przed zgonem wskazywał na nogę, bo go bolała, i na piersi, lecz nie wiedzieliśmy dla czego?...

I obnaża wójt piersi umarłemu i rzeczywiście znajduje w woreczku dość szerokim pieniądze papierowe i dukaty złote.

Przerachowano; były wszystkie.

— Macie tu waszą nagrodę, dobry Stanisławie! — powiedział wójt i wręczył mu woreczek z wszystkiemi pieniądzmi.

— Co się wtenczas działo w chacie ucieszonego Stanisława — mówił do mnie Kadulski — można się łatwo domyśleć!...

— A cóż się potem stało? — zapytałem Kadulskiego.

— Stanisław sprawił umarłemu piękny pogrzeb, a w rok potem postawił mu nadgrobek Nieboszczyk spoczywa sobie w Bogu, a w wiosce naszej, gdzie ukończył życie, pozostała po nim piękna pamiątka...

— Jak to rozumiesz? zapytałem,

Na to rzekł Kadulski:

— Stanisław zaraz po pogrzebie zaprosił do swej chaty księdza proboszcza, wójta i przysiężnych i tak do nich powiedział:

— Niespodziewanym sposobem opatrzył mię Pan najwyższy za co niech mu będzie cześć i chwała! Nie mógłbym jednak tego strawić, bym w tak szczęśliwej chwili nie zostawił pamiątki w rodzinnej wiosce po sobie i nieznajomym mi nieboszczyku. Wiem dobrze, że gmina łamie sobie właśnie głowę, zkąd weźmie pieniędzy na odbudowanie walącej się szkoły, bo te pieniądze które posiada, nie wystarczają na opędzenie wszystkich potrzeb. Otóż z mej strony ofiaruję z pieniędzy, jakby z nieba zesłanych, 500 złr. na odbudowanie szkoły, by się szerzyła przez młode pokolenie chwała boża i dobroczynne światło...

— Ślicznie, ślicznie, mój Stanisławie! — przemówił ksiądz proboszcz — Piękniej nie mogliście sobie postąpić! A to mi rozum! Bóg wam stokrotnie zapłać! — zawołali obecni radni.

I tak widzisz, mój Józefie! — opowiadał Kadulski, — Palec stał się dobroczyńcą naszej szkoły; on ją doprowadził do takiego stanu. Piękny przykład zjednał także innych dobroczyńców. Gmina dała, co mogła; pan dziedzic przysłał kamieni na fundamenta i drzewa z lasu, obowiązał się dawać dodatek roczny do płacy nauczyciela; ksiądz proboszcz sprawił kilka obrazów i rozmaite przyrządy do nauki, a pani dziedziczka założyła niedawno przy szkółce biblijoteczkę, kupuje książki i różne gazety, sama chodzi często do szkółki, i rozdaje pilnym dziewczętom rozmaite rzeczy i cieszy się bardzo, że kiedyś z nich będą dobre matki i gospodynie Nauczyciel jest bardzo dobrym człowiekiem; szanujemy go wszyscy i za uczciwą jego pracę płacimy mu rzetelnie, żeby nie miał krzywdy. O pieniądze nie potrzebuje się prosić, bo my wiemy dobrze, że kto pracuje, temu należy się zapłata. A jakżeby też to było żeby za tyle kłopotów i mozołów z dziećmi, musiał się jeszcze trapić o swoją płacę?... Tego u nas niema. On też za to ma wielką ochotę do pracy, pilnuje dzieci, uczy ich pszczelnictwa, sadownictwa, a nawet i jedwabnictwa, dla tego też jakoś czujemy, że mamy między sobą takiego dobrodzieja. Jakie wychowa pokolenie, taka będzie przyszłość nasza... On się poświęca, godzien więc wielkiej od nas wdzięczności. I wszyscy się cieszymy, że mamy szkołę, a do tego taką piękną szkołę.

— A to uczciwie sobie postępujecie — powiem do Kadulskiego — widać, że tu ludzie mają głowy na karku nie od parady, bo pojmują swoje obowiązki względem swoich dzieci i kraju rodzinnego. Wiadomość ta cieszy mię nadzwyczajnie, to też daję słowo, że gdy tylko powrócę do domu, zaraz napiszę do Dzwonka, żeby inni ludzie także wiedzieli jacy to są ojcowie w Śliwowicach...

Kadulskiemu stanęła w oku łza radości.

— A widzisz, mój kochany, jak to cieszy każdego człowieka, gdy się przekona, że dobrze robi... Raduje się Bóg w niebie, cieszą się ludzie, uznają pracę i drugim jeszcze stawią za przykład... A poczciwy Palec czy żyje jeszcze?

— Umarł biedaczysko prawie rok temu — odrzekł Kadulski — a od śmierci jego gospodaruje syn jego Wawrzyniec.

Ale jak gospodaruje, to przechodzi wszelkie spodziewanie. To mi dopiero gospodarz nie lada!

I poszliśmy wnet do Wawrzyńca Palca, przyjrzeliśmy się jego gospodarstwu, oglądnęliśmy więc całą, która tak mię zajęła porządkiem, poczciwością jej mieszkańców, że z prawdziwym smutkiem odjeżdżałem w moje strony.

Niechże wam więc, moi kochani, Śliwowice często będą na myśli, iżbyście z nich brali przykład, jak macie postępować, by sobie zjednać uznanie dobrych ludzi i błogosławieństwo boże, czego wam życzę z całej duszy.

A zaś z Stanisława Palca bierzcie sobie wzór, jak macie wypełniać uczynki miłosierne wedle nakazu wiary naszej, chociażby was nie spotkała nagroda tutaj na ziemi, to najpewniejsza czeka was w niebie.

Józef z Bochni.

Pieśń ubogiej dziewczynki.

W słomą krytej, nizkiej chatce
Przy ubogiej mieszkam matce;
Chodźcie do nas, zobaczycie:
Jakie to tu nasze życie.

Kołowrotek się obraca,
Ubóstwo nam słodzi praca,
A szczęśliwi i weseli
Pracujemy do Niedzieli.

A w Niedzielę u matulki
Bieluchne jak śnieg koszulki,
Postroi nas jak laleczki —
Ach! dobrzeż nam u mateczki!

Błyśnie ranek — dzwonek woła —
Więc idziemy do kościoła,
Usta wdzięczne, a nieśmiałe
Wyspiewują Bogu chwałę.

Obiadek lepszy w Niedzielę,
Zjemy smacznie, choć niewiele:
Dobrze o tem pamiętamy,
Że od Boga wszystko mamy.

Dzień nam za dniem słodko płynie,
Jak Niedziela — życie minie —
Minie szybko, niespodzianie.
Dobroć Boska pozostanie.

Struś.

Jak już wiecie z opisania wielbłąda, żyją na owych piasczystych pustyniach w Afryce, które Saharą nazywają, bardzo nieliczne zwierzęta, gdyż wszystko co oddycha i żyje, potrzebuje wody i cieni, których to właśnie rzeczy ta ogromna puszcza Sahara nie posiada. Wszędzie tylko piaski na ziemi; w powietrzu rzadko kiedy chyba sęp polata, a nad tą smutną białą krainą błyszczy gorące i skwarne słońce.

Jakżeby tu stworzenie istnieć mogło bez napoju i zielonej trawki? — A przecież nie chciał Wszechmocny, by i krainy, które ludzie zowią pustyniami, były rzeczywiście pustyniami ogołoconemi z wszelkich mieszkańców. Dlatego też dał i tym piaskom mieszkańców i stworzył na nich zwierzęta, które dłuższy czas bez napoju wytrzymać, a żywność i w piaskach znaleźć mogą. Z tych to zwierząt poznaliście już jedno, t. j. wielbłąda, lecz prócz niego żyje tam jeszcze hyena, szakal, a z ptaków struś. Otóż właśnie strusia chcemy Wam teraz opisać, zwłaszcza, żeśmy Wam przyrzekli w ostatnim numerze pisywać o nieznanych u was ptakach.

Struś jest to ptak największy z wszystkich, gdyż dochodzi wysokości trzech do czterech łokci, jest to zatem wysokość nielada. Mianowicie struś żyjący na Saharze w Afryce i na arabskich puszczach w Azyi jest tym królem, wielkością potężnym, całego ptasiego rodu. Prócz tego rodzaju strusi istnieją jeszcze inne strusie w południowej Ameryce, lecz te są znacznie mniejsze, gdyż tylko na trzy lub cztery stopy wysokie. Długie a grube nogi tego dziwnego, jak widzicie z rysunku, ptaka, mają po dwa palce mięsiste i są szczególnie do szybkiego biegu usposobione. Na nich spoczywa tułów z małemi skrzydełkami, które, jak się dorozumieć już można,

tego ciężkiego ptaka w powietrzu unieść by nie zdołały. I rzeczywiście struś chociaż jest ptakiem, latać nie umie, a nawet nie może i jedynie biegiem, ale biegiem bardzo szybkim przed prześladowcą się ratuje. Z tułowiu wychodzi długa szyja, która jest zakończona niewielką głową.



Struś.

Nogi są pokryte tak jak u naszych kur kościanemi łuskami, a są bardzo tęgie i sprężyste.

Właśnie ciało strusie, czyli tułów, jest pokryte piórkami miękkiemi barwy szarej i tylko skrzydła i ogon są opatrzone w wielkie, puszyste pióra śnieżnej białości niekiedy o czarnych końcach. Te to właśnie pióra są ozdobą tego ptaka, a nietylko ptaka, lecz także i człowieka, który na strusie poluje, ogołaca ich z tych pięknych piór i zdobi niemi kobiece stroiki i kapelusze. Lecz tylko też tułów jest tak pięknie przystrojony, szyja bowiem jest brzydka, a nawet obrzydliwa. Skóra na niej chropawa, brodawek wiele, a rzadka szczeć przecież nie doda piękności tej brzydocie. Tak też i ta głowa mała nosi uczciwą łysinę i li gdzie niegdzie po kilka grubych włosków. Dziób wreszcie podobny jest do dzióba gęsiego.

Struś nie jest to ptak drapieżny, lecz żywi się jedynie roślinami, t. j. trawą, zbożem i owocami. Żołądek jego trawi ogromnie wiele, a trawi tak dobrze, że używamy nawet przysłowia: „Ma strusi żołądek“ o człowieku, który rozmaite potrawy i to w wielkiej ilości w sobie pomieścić jest w stanie. Przysłowie to znajdzie też i usprawiedliwienie, jeżli zważymy, że struś, aby przetrzeć strawę w żołądku nawet kamyki i kawałki ołowiu lub żelaza bez szkody połyka. A o trawieniu tego żołądka możemy dopiero otrzymać należyte wyobrażenie, jeżli przeczytamy, co pewien Niemiec pisze o strusiu, którego w głównem mieście Prus t. j. w Berlinie w królewskim ogrodzie chowano. Otóż gość jeden, który ten ogród zwiedzał, opuścił przypadkowo nową srebrną monetę pięciogroszową. Struś dostał na nią apetyt i wkrótce monetę podjął z ziemi i połknął. Pieniądz ten jednak stał się przyczyną jego śmierci. U monety bowiem zwłaszcza nowej są krawędzie dość ostre i te też poraniły gardło łakomemu strusiowi. Ptaszysko zesmutniało, opuściło głowę i zginęło. Szkoda jednak było tak pięknego ptaka zakopać lub wyrzucić, postanowiono przeto go wypchać. Rozcięto go więc, a w brzuchu znaleziono krągły kawałek srebra, ale tak starty, że nie było można poznać wybicia na nim. Była to właśnie ta przed kilkunastu godzinami jeszcze nowa moneta.

Dla pięknych piór, które struś w skrzydłach i ogonie posiada, urządzają mieszkańce tameczni polowania na strusie.

Odbywa się zaś takie polowanie bez psów i bez strzelb, lecz w sposób zupełnie od zwykłego polowania odmienny. Myśliwi bowiem dosiadają szybkich i zręcznych koni, a za broń na strusie używają długich sznurów, do których są uwiązane kule ołowiane albo kamienne. Gdy zoczą stado strusi, pędzą za niem i rzucają na ofiarę wybraną owe sznury, które się natychmiast w około szyi lub nóg okręcają. Lekkie uderzenie laską drewnianą po głowie złowionego ptaka wystarcza by go ubić. Wtedy zdejmują skórę ze strusia a mięso zostawiają na pustyni, ponieważ im jako potrawa nie smakuje. Pióra zaś stanowią dla nich zarobek. Również i jaja strusie są przydatne, które stosunkowo do tak wielkiego ptaka dochodzą wielkości głowy dwuletniego dziecka. Z jaj tych przyrządzają smaczne potrawy, a i skorup nie odrzucają; skorupy bowiem są bardzo twarde, a trwalsze nawet od naszych talerzy i dają się używać za czarki i miski.

W ostatnich czasach zrobiono spostrzeżenie, że struś łatwo daje się ułaskawić. Możemy się zatem spodziewać, iż z czasem ustaną te dzikie polowania, i że ludzie tameczni urządzą hodowle strusi, zwłaszcza że można ich podskubywać tak, jak u nas gęsi, bez szkody dla zwierzęcia A i jaj będzie można mieć więcej, ile że samica na jajach siedzieć nie potrzebuje, ponieważ skwar słoneczny i piasek wystarcza do tworzenia się młodych w jajach. W przeciwnym razie, tj. gdyby samica siedziała na jajach, nie byłoby bezpiecznie do jej gniazda przystąpić, bo struś ma taką siłę w tych małych skrzydłach, że za jednem uderzeniem kość złamać może.

Kościół na Łysej Górze.

Wieś Zawoda leży sobie około wielkiego lasu nad małą rzeczką, i nie jest wsią lada jaką, bo już z wejrzenia ma wielkie podobieństwo do miasteczka. Domki w niej są schludne, jakby w jakiej kolonii niemieckiej; sady obszerne i pola dobre, kościół okazały, a i szkoła jakby dworek jaki. Gospodarze prawie wszyscy umieją tu czytać i mają wielką cieka-

wość wiedzieć o tem, co się to znajduje i dzieje na szerokim świecie? To też co święto i niedziela po nieszporach, zamiast pójść do karczmy i marnować tam zdrowie i pieniądze, schodzą się do owej szkoły i słuchają rozmaitych opowiadań, albo sami czytają z szkolnej biblioteczki książki i wychodzące gazety. Takiemi schadzkami zajmuje się najwięcej stary Marcin Pieńkosz, żołnierz z 1831 roku.

Był ci on nie w jednym kącie naszej ziemi polskiej, toć też wiele rzeczy wie na pamięć, gdy przyjdzie o czem opowiedzieć. A płynie mu to tak gładko i potoczyście, jak każdemu chudzinie pacierz, który powtarza prawie od kolebki.

Jednej niedzieli przyniósł do szkoły Walek Koćma malowany obrazek i pokazał go Marcinowi.

Marcin wziął go do ręki, popatrzył i przeczytał podpis:

Kościół świętego krzyża na Łysej Górze.

— Czy też to przypadkiem nie na tej górze — pytał Walek — gdzie to czarownice wyprawiają tańce?

— Na tej właśnie, na tej, mój kochany! – odrzekł Marcin.

— A czy też to prawda, mój Marcinie — wtrącił Paweł Dudek — że czarownice istnieją na świecie i że ich dawnemi czasy tak wiele było między ludźmi?

Na to powiedział Marcin:

— O tem bają sobie nierozsądni ludzie, którzy nie mają nauki i nie wierzą temu, czego ich naucza kościół. Czarownic nie ma na świecie, a przecież i dzisiaj jeszcze wierzą niektórzy, że one czarują mleko, trawy i zioła, a to są grzeszne baśnie. I mówią sobie, że czarownice doją krowy i zanoszą mleko sąsiadom. To taka prawda, jak i to, że czarownica wbija kołek w chlewie i cebrami doi z niego mleko..

— No, ale dawniej były czarownice — zawołał ktoś ze słuchaczów.

— Moi kochani! — rzekł Marcin — dawniej inne były czasy; oświaty nie było takiej, jak dzisiaj, toć też ludzie mieli więcej skłonności do zabobonów i tysiącznych tajemnic, bo nie umiejąc sobie wytłómaczyć tego i owego, przypisywali zaraz każde zjawisko, każdą sprawę czartom lub czarownicom. I łatwym sposobem niejednego człowieka utrzymywali za czarnoksiężnika

lub czarownika i tysiące wymyślali sobie czarów i zabobonów, których dzisiaj, dzięki naukom i oświacie, coraz mniej jest między ludźmi. Rzecz ta tak się ma. Niegdyś pierwsi Słowianie, nie wiedzieli nic o Bogu, nie znali oświaty, a przecież chcieli komuś cześć oddawać, składać ofiary, to też powymyślali sobie różnych bożków i do nich się modlili. Lubili słońce i księżyc, bo one udzielają nam światła, bez którego nie miłe byłoby życie nasze. Jak inne starożytne narody, tak i przodkowie nasi, pogańscy wówczas Słowianie, uważali góry za szczególne miejsca, z których bóstwa najmilej przyjmowały cześć od ludzi. Dla tego stawiali na górach ołtarze i świątynie dla bożków, spełniali w tychże krwawe ofiary i palili ognie. Czcząc słońce i księżyc, uważali, że góry są najwspanialszem mieszkaniem bogów, bo najpierwej rumienią się od promieni wschodzącego słońca i najdłużej odbijają miłe jego światło przy zachodzie. Z tego też powodu nazywali Słowianie góry takie świetlnemi, jasnemi, albo łysemi. Mieli oni bóstwo wojownicze zwane Światowid, czyli słońce. To bóstwo czcili na górach w miesiącu Czerwcu ogniami czyli tak zwanemi sobótkami. Później zamieniły się one na zebrania w czasie Zielonych Świątek. Były to głośne zabawy przy ogniu, pełne rozpusty a nawet i zbrodni. Zniesiono je, jak piszą w książkach około 1468 roku, chociaż zwyczaj palenia ogni czyli sobótek dochował się do naszych czasów.

Pomiędzy tak zwanemi łysemi górami, których jest dosyć w polskiej krainie, Łysiec czyli Łysia Góra, także Świętokrzyzką zwana, leżąca w ziemi radomskiej, w powiecie opoczyńskim, najpierwsze trzyma miejsce. Jeszcze za pogańskich czasów stała na niej świątynia trzech bałwanów, a była ona najsłynniejszę u pogańskich Słowian. Co roku pierwszego maja schodzili się do niej ludzie na modły i składanie ofiar. Był to podobny zwyczaj jak i w Niemczech, gdzie dnia tego na łysych górach wyprawiano czarodziejskie uczty i zabawy, jak to u nas bywało za pogańskich czasów na uczczenie rozpoczynającej się wiosny.

Łysa Góra była więc świętem miejscem dla praojców naszych Słowian. Świątynia na niej była poświęcona Po-

świstowi, bożkowi wiatrów, Ładzie, bogini piękności, i Łagodzie, bogini ciszy i powietrza przyjemnego. Tutaj chowano popioły umarłych, bo w nie bardzo dawnych czasach znachodzono tutaj popielnice czyli urny.

— A jak to chowano owe popioły? — zapytał Walek Koćma.

— Oto widzicie — prawił Marcin — robiono stosy z drzewa, na nie kładziono ciała nieboszczyków i stosy te podpalano. Myśli sobie niejeden, a jakże wtedy mogli zebrać popioły z zwłok spalonych? Do tego używano takiego sposobu. Robiono płachty z kamienia zwanego asbestem, który na włókna dzielić się daje, temi płachtami obwijano ciała, i chociaż ogień spalił ciało, przecież płachty wcale nie uszkodził. Z niej zbierano popioły i składano w urny, a te chowano w ziemi lub świątyni.

Na Łysej górze odbywali Słowianie swoje wiece, to jest radne schadzki czyli sejmy. Lud jednak zapomniał później o tem wszystkiem i wierzył tylko, że na tej górze gromadzą się z całej Polski czarownice i widma, i tutaj urządzają sobie czarodziejskie biesiady, na których bywało tak zwane Bobo, bożyszcze w postaci capa lub kota czarnego, i cała czereda biesów. Piszą uczeni, że lud może dla tego tak twierdzi, bo na tej niedostępnej górze, otoczonej niegdyś kilkumilową puszczą, najdłużej ukrywało się bałwochwalstwo ze swoimi kapłanami i ucztami.

Dziwne to rzeczy bajano o tych czarownicach. Miały one używać trupich kości, trumien, popiołów, fartuchów po figurach zabobonnie rozwieszanych, mózgów kocich, futer z czarnych kotów, postronków i tym podobnych wymysłów. Ale najciekawszą była wyprawa na Łysią Górę. Miało się to dziać każdego czwartku po nowiu księżyca, a szczególnie w wigiliję św. Jana. Wtedy siadały baby na kozły, ożogi, miotły albo na niecki lub łopaty i nasmarowawszy się tłustością przed chrztem uduszonych dzieci — puszczały się w powietrzną drogę i w mgnieniu oka stawały na miejscu.

— Ależ wy żartujecie, kochany Marcinie! — przerwał Paweł Dudek.

— Widzisz — odparł Marcin — ty mając lepsze pojęcie, sam to uważasz za żarty, a dawniejsi ludzie utrzymywali to za prawdę. Mówili sami, że prawdziwej czarownicy poznać nie można, ale wierzyli, iż gdy zrobią jakieś tam dziwaczne praktyki, obaczą w kościele na jutrzni czarownice, które się im inaczej przedstawią niż zwyczajnym ludziom. Będą przewrotnie siedziały, na głowach będą miały garnki, maselniczki, rynki, konewki i kotły zamiast zwykłego ubrania głowy. Za lada błachą skargą, już czarownicę uznawano za winną i musiała srogie przechodzić katusze. Pławiono ją w stawie, a potem torturami dręczono o przyznanie się do winy. Był to obłęd rozumu; jednakże nie było u nas okrucieństw tak wielkich, jak w innych krajach. Tam mordowano naraz po kilkadziesiąt mniemanych czarownic, bo lada mały pozór wystarczał do tego.

— A kiedy też powstał kościół katolicki na Łysej Górze? — zapytał Sobek Starchoń.

— Słyszeliście już zapewnie — mówił Marcin — że Mieczysław I. zaprowadził chrześcijaństwo w Polsce, a rozkrzewił je dzielny monarcha Bolesław Chrobry. On to miał wznieść na Łysej Górze kościół, jeden z najsławniejszych w Polsce, przy którym osadził Benedyktynów z Włoch sprowadzonych. Wielki to był król ten Bolesław Chrobry. Słynie z bitew, ale i z gorliwości pod względem wiary. Łamiącym posty, kazał wyrywać zęby; przestępnikom niedzieli odcinać głowy. Były to trochę za surowe środki, ale wtenczas tak pojmowano rzeczy. Bolesław zakładał szkoły, stawiał klasztory i kościoły, bo w nich tylko podczas srogich wojen przechowywała się oświata. A Benedyktyni słynęli z nauki, to też opatrzył ich klasztor na Łysej Górze bardzo bogatem opactwem. Bogactwa były tam wielkie, dlatego też ściągały licznych najezdników, którzy klasztór do szczętu niszczyli. (D. n.)

Dodatek polityczny.

Francya. Powiedzieliśmy już w przeszłym numerze, że powiódł Dąbrowski wojska paryskie do bratobójczej walki.

Pierwszym jego krokom towarzyszyło szczęście, gdyż zdołał wojska rządowe aż z dwu miejsc wyprzeć. Krew polała się strumieniami, krew bratnia, a zwycięztwa niesprawiedliwej strony zdają się być jedynie tem większą karą boską. Rząd bowiem francuzki, który przecież wyszedł z woli wszystkich obywateli, a zatem jest sprawiedliwy, nie mógł patrzeć obojętnie na zwycięstwa tych, którzy wszczynają nieporządki, by je dla siebie wyzyskać. Był zatem zmuszony jąć się ostrych środków, jął się broni i wystąpił przeciw Paryżowi. Walka przeto nie ustała, bój krwawy trwa dalej, sprawiedliwy Pan na niebie, żąda od ludzi, by swe winy krwią zmyli. Dlategoteż ustąpiło szczęście z wojsk paryskich; zwycięstwa znikły, a na ich miejsce przyszło zwątpienie i rozpacz. Powiadam rozpacz, gdyż wśród pękania bomb i jęków umierających panuje straszny głód, który znowu powstał w nieszczęśliwym Paryżu. Położenie tego miasta wcale więc zazdrości wzbudzić nie może, ojciec, syn, brat idą na wały by strzelać na braci i od nich otrzymać rany albo też i śmierć. A cóż mam mówić o żonach i dzieciach, o siostrach i matkach? Pozostają w ciągłym niepokoju o życie swoich, a przytem głód niedostatek, trapi ich wnętrzności. Te bomby, te granaty, te kule, które padają z bratniej ręki na wspaniały niegdyś Paryż, zdają się być owym deszczem ognistym, jaki zesłał Bóg na grzeszną Sodomę. Dwukrotnie wytrzymać musi to ogromne miasto wszelkie okropności wojny, już po raz drugi w krótkiem przeciągu czasu padają kule na dachy Paryża, obecnie tem boleśniejsze, ile że brat zabija brata, a syn na ojca godzi. Tymczasem rząd gromadzi coraz liczniejsze wojska, zbiera ludzi, karabiny i działa, by uniemożliwić walkę dłuższą. I zdaje się, że uda mu się stłumić te krwawe rozruchy, jakkolwiek jeszcze wiele krwi bratniej popłynie i chociaż niejeden wspaniały budynek, który podziwiali cudzoziemcy, runie w gruzy. I cóż na to powiadają Prusaki? Otóż miło im jest patrzeć na te krwawe zatargi między braćmi, miło im patrzeć na rany i śmierć Francuzów, miło im widzieć, jak synowie jednej ziemi szarpią wnętrzności swojego kraju, który ich wyżywił. I z tej też przyczyny nie czynią żadnych przeszkód w rozlewie krwi, pozwalają rządowi Francyi ściągać

liczne wojska i z drugiej strony pozwalają Paryżowi rabować srebro i złoto z domów spokojnych obywateli, którzy się z buntem nie chcą pogodzić, aby z tego krwawego kruszcu bić pieniądze. Patrzą na to straszne widowisko i cieszą się, gdyż Francja się osłabia, nie będzie mogła dotrzymywać terminów zapłacenia kosztów wojennych, a Prusaki będą mieli znowu sposobność do rozbojów i rabunków, do których się przyzwyczaili.

Austrya. Niemcy powitali ministra Grocholskiego jedni z niedowierzaniem, drudzy z ufnością. Podczas ostatniej wojny bowiem podzielili się Niemcy austryaccy na dwie części, jedna uwielbia Prusaków, druga pozostała wierną Austryi i Najjaśniejszemu Panu. Tamci to Niemcy, którym się tak bardzo niemieckie zwycięstwa podobały, a którzy zapomnieli, jak ich biły Prusaki w r. 1866, szydzą z pana Grocholskiego i uderzają na ministerstwo, że pośredniczyło w mianowaniu tegoż ministrem. Lecz nie mamy się czego na nich oglądać; są to zdrajcy, którzyby chcieli zaprzedać Austryą Prusakowi i którzyby chcieli panować nad innymi narodami, jak to dawniej bywało. Inaczej myślą wierni naszemu monarsze Niemcy i witają ministra Grocholskiego z ufnością, gdyż życzą sobie, by i inne narody w Rządzie uczestniczyły. Zdaje się, że za sprawą p. Grocholskiego stało się że ministeryum przedłożyło radzie państwa wniosek, by oddano sejmom krajowym większe wpływy na sprawy kraju i ustanawianie praw, które się kraju tyczą. Można sobie wyobrazić, że to jest rzeczą niemałą gdyż Sejm przecież będzie lepiej wiedział, czego nam potrzeba, niż Rada państwa we Wiedniu, która jest z rozmaitych ludzi złożona, a mianowicie ma swem łonie także nieprzyjaźnych nam Niemców. Dlategoteż, jeżli się to stało za sprawą naszego ministra Grocholskiego, możemy gc powitać z zaufaniem i życzyć mu do rozpoczętego dzieła: „Szczęść Boże!“

† W Wiedniu umarł tymi dniami główny naczelnik marynarki tj. okrętów Austryi, admirał Tegethoff. Jest to ten sam, który w r. 1866 pobił Włochów w bitwie morskiej.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.